

Styczeń 2011

Krew męczenników nasieniem chrześcijan

Któż mógłby przypuszczać, że starożytne powiedzenie Tertuliana: *Sanguis martyrum, semen christianorum* stanie się tak bardzo aktualne w pierwszej dekadzie XXI w.? Za swego rodzaju cyniczny komentarz do przesłania Benedykta XVI na pierwszy dzień Nowego Roku 2011, który tradycyjnie jest Światowym Dniem Pokoju, trzeba uznać bombę eksplodującą w sylwestrową noc przed jednym z kościołów egipskiej Aleksandrii, która zabiła 21 osób.

Na pierwszą dekadę nowego wieku można patrzeć pod różnym kątem. Dla jednych będzie to dekada portali społecznościowych, dla innych - krachu gospodarczego. Nie ulega jednak wątpliwości, że był to także czas bezprzykładnej agresji wobec chrześcijan, widocznej szczególnie w krajach arabskich. Nie można się oprzeć wrażeniu, że ich celem było nie tylko zasianie lęku w szeregi wierzących w Chrystusa, ale wręcz zmuszenie ich do emigracji z państw, w których dominuje islam. Biorąc pod uwagę liczbę ofiar, bezsprzecznie najliczniejszą grupę stanowili w pierwszej dekadzie XXI w. prześladowani nie ze względów politycznych czy też z racji orientacji seksualnej, ale właśnie ze względów religijnych, szczególnie chrześcijanie.

W tym kontekście obszerne przesłanie Benedykta XVI na dzień 1 stycznia 2011, zatytułowane *Wolność religijna drogą do pokoju*, brzmi szczególnie dramatycznie. Już na wstępie Papież wspomina cierpienia chrześcijan w Iraku, których apogeum był ubiegłoroczny zamach na syrokatolicką katedrę w Bagdadzie, w wyniku którego zginęło dwóch kapłanów i ponad pięćdziesięciu wiernych. Papieska diagnoza nie pozostawia wątpliwości, że przyczyną tych ataków nie jest jedynie wzrost agresji w stosunkach międzyludzkich, ale że

stanowią one objaw głębszego problemu. Dlatego nie wystarczy jedynie potępienie fundamentalizmu i fanatyzmu religijnego, które stanowią bezpośrednie tło agresji na tle religijnym.

Panaceum na przemoc na tle religijnym wydaje się wielu przyjęcie ponowoczesnej koncepcji relatywizacji prawdy religijnej. Papież polemizuje zdecydowanie z poglądami, że drogą do pokoju religijnego mogłaby stać się rezygnacja z roszczeń związanych z prawdą i jej poznaniem, tak charakterystycznych dla wielu religii. Nie dążenie do prawdy jest sednem problemu, ale brak wolności religijnej, wyrażającej się w szacunku dla poznania prawdy i życia według jej wymagań. Nie może chodzić jedynie o ochronę przed przymusem religijnym, ale celem musi być stworzenie przestrzeni, w której mogłaby się ujawnić i być realizowana głęboka zdolność każdego człowieka do kształtowania własnych decyzji życiowych zgodnie z poznaną prawdą religijną. Koncepcja wolności obojętnej albo nawet wrogiej Bogu musi więc w ostateczności prowadzić do zanegowania samej siebie i w ostateczności do przemocy. Relatywizm etyczny nigdy nie stanie się kluczem do pokoju między religiami, ale paradoksalnie - źródłem jeszcze większych podziałów i deptania ludzkiej godności. Jedynie prawdziwa wolność religijna, która uznaje nie tylko prawo do wyrażania swojej wiary, ale także do współkształtowania przez wierzących życia społecznego, może stanowić podstawę pokojowego współistnienia ludzi różnych światopoglądów.

Wolność religijna oznacza uznanie jedności osoby ludzkiej, której obcy jest podział na sferę religijną, która miałaby by się odnosić wyłącznie do obszaru prywatnego oraz sferę społeczną, która miałaby być wolna od konotacji religijnych. Papież przypomina w tym kontekście fragment swego przemówienia wygłoszonego w 2008 r. na forum Organizacji Narodów Zjednoczonych: *Nie do pomyślenia jest [...] sytuacja, by wierzący musieli wyrzec*

się części samych siebie — swej wiary — aby być aktywnymi obywatelami. Nigdy nie powinna zająć konieczność wyparcia się Boga, aby móc korzystać ze swoich praw [nr 3]. Odrzucając wszelki fundamentalizm, fanatyzm i działania godzące w prawa człowieka, papież podkreśla jednocześnie, że etyczny wkład religii w obszarze politycznym nie powinien być marginalizowany czy nawet usuwany, gdyż może stać się ważnym elementem dobra wspólnego.

Orędzie papieskie stanowi zatem nie tylko reakcję na okrucieństwa i zbrodnie wobec chrześcijan w krajach islamskich, ale na nowo podejmuje nabrzmiewający coraz bardziej również w społeczeństwach euroatlantyckich temat miejsca religii i Kościoła w ponowoczesnym świecie. Powodowane nierzadko religijnym fanatyzmem prześladowania chrześcijan, jakich jesteśmy świadkami, nie powinny w żadnym razie prowadzić do marginalizacji głosu wierzących we współczesnym świecie. Jednym ze smutnych wyrazów tej marginalizacji jest także fakt, że tak uwrażliwiona na nietolerancję światowa opinia publiczna nie kwapi się z głośnym napiętnowaniem konkretnych aktów przemocy wobec chrześcijan. Czyżby wierzący uważani byli za obywateli drugiej kategorii?

Luty 2011

Zderzenie światów?

Teraz chodzi o kontynuację i uchwycenie dramaturgii czasu; w nim należy trzymać się mocno Słowa Bożego jako decydującej instancji i równocześnie nadać chrześcijaństwu prostotę i głębię, bez których nie może ono działać (s. 77). Te słowa Benedykta XVI, pochodzące z polskiego wydania wywiadu - rzeki, jaki przeprowadził niemiecki dziennikarz Peter Seewald, precyzyjnie odzwierciedlają to, co papież sądzi o własnej misji, a tym samym o roli Kościoła

we współczesnym świecie. Wywiad ten nie jest dla obu rozmówców absolutną nowością - jest trzecim książkowym owoców ich rozmów. Mimo to najnowszy zapis sześciogodzinnej rozmowy z papieżem jest wyjątkowy, gdyż o ile w poprzednich dwóch rozmówca był prefektem Kongregacji Nauki Wiary, o tyle ten zapis stanowi pierwszy w dziejach Kościoła wywiad z następcą św. Piotra przeprowadzony w formie osobistej i bezpośredniej rozmowy.

Papież jest pytany i zajmuje stanowisko w wielu kwestiach. Są wśród nich sprawy kontrowersyjne, które wielokrotnie pojawiały się w medialnych komentarzach, jak skandale seksualne z udziałem duchownych czy sprawa cofnięcia ekskomuniki schizmatycznego biskupa Williamsona, ale także kontrowersyjne kwestie dotyczące kształtu samego Kościoła, ja reforma liturgii czy celibat księży. Do najciekawszych wątków należy jednak diagnoza dotycząca roli Kościoła we współczesnym świecie. Seewald wyraża w swoich pytaniach bardzo rozpowszechnione odczucie, że spotkanie Kościoła i świata przypomina zderzenie dwóch całkowicie odmiennych światów, które dzieli od siebie przepaść. Propagowana w mediach diagnoza Kościoła jest dla niego miazdząca: przestarzała instytucja, trzymająca się kurczowo dawnych przekonań i - co jest charakterystyczne dla ludzi w podeszłym wieku - nie przyjmująca do wiadomości, że świat jest już całkowicie inny. Nie trzeba jednak wielkiego wysiłku, by dostrzec, jak wykrzywiony i fałszywy jest to obraz. Tym bardziej, że formułujący tak skrajnie krytyczną ocenę świat sam jest pogrążony w głębokim kryzysie, który coraz bardziej się uwidacznia. Arogancja rozumu, który już nie potrzebuje "hipotezy Boga", doprowadziła do utraty moralnych drogowskazów i brutalizacji społeczeństw. Jesteśmy świadkami eskalacji oczekiwań i roszczeń społeczeństw bogatych, które nie chcą - nawet w obliczu zapaści światowej gospodarki - zrezygnować z wysokiego standardu życia. W efekcie nie tylko

powiększa się w świecie strefa głodu, ale także upowszechnia się przemoc i pogarda dla człowieka, także w społeczeństwach bogatych.

Benedykt XVI jeszcze przed wyborem na stolicę piotrową ostrzegał przed dyktaturą relatywizmu. Odpowiadając na pytanie Seewalda o diagnozę stanu współczesnego świata, papież podkreśla proroczą misję Kościoła. Misja ta polega w ostateczności na podtrzymywaniu wśród ludzi świadomości istnienia Boga, bez której człowiekowi brakuje nie tylko drogowskazu nadającego kierunek i sens ekspansji rozwojowej, ale także miary moralnej niezbędnej do dokonywania codziennych wyborów. Gdzie z jednej strony w imię tolerancji neguje się istnienie prawdy, a z drugiej laickie sposoby myślenia i wartościowania są narzucane wszystkim jako szczytowe osiągnięcia rozwoju społecznego, tam nie może zabraknąć krytycznego głosu chrześcijan.

Oni sami jednak, jak podkreśla Benedykt XVI, muszą na nowo zdać sobie sprawę z własnej tożsamości. Wierzący bardzo często żyją bezrefleksyjnie w pewnym rodzaju schizofrenii, jakby podzielonej egzystencji. Czy zatem bycie chrześcijaninem musi oznaczać zerwanie ze współczesnym światem? Wręcz przeciwnie: *Bycie chrześcijaninem nie może oznaczać przywdziania archaicznego kostiumu, trzymania się go kurczowo i w pewnym stopniu życia obok nowoczesności. Bycie chrześcijaninem jest już samo w sobie czymś żywym, czymś nowoczesnym, co całą nowoczesność formuje i kształtuje [...]. Ważne jest, że próbujemy tak żyć i myśleć po chrześcijańsku, aby przyjmować to, co dobre i słuszne w nowoczesności - a zarazem odcinać się i odróżniać od tego, co staje się antyreligią* (s. 67). Jedną z najbardziej niezbędnych dzisiaj cnót chrześcijanina jest zatem to, co tradycja określa jako umiejętność rozeznawania duchów. Są sytuacje, w których *wiara musi dostosować się do form i kształtów współczesności*; są też takie, w których *musi stawiać opór* (s. 68). Aby jednak ta nowa świadomość świeżości i siły wiary mogła stać się zaczynem przemiany

świata, musi ona iść w parze z zaangażowaniem społecznym, ze skutecznym wprowadzeniem głosu chrześcijan w debatę publiczną. Postawione w tym kontekście retoryczne pytanie Benedykta XVI daje do myślenia: *Jak to możliwe, że chrześcijanie, którzy osobiście są wierzącymi ludźmi, nie mają siły, aby mocniej oddziaływać swoją wiarą na politykę?*

Marzec 2011

Ludzie i bogowie

Znany u nas pod polskim tytułem "Ludzie Boga" film Xaviera Beauvois musi być uznane za wydarzenie kulturalne. Jest to opowieść o ostatnich tygodniach życia francuskich trapistów z klasztoru w Tibhirine w Algierii, ostatecznie porwanych i zamordowanych w 1996 r. przez jedną z islamskich grup zbrojnych. Film jest rzeczywiście wyjątkowym obrazem, rozsadzającym schematy, jakie pojawiają się niemalże automatycznie, gdy ktoś usłyszy o jego fabule. Wbrew pozorom nie jest to film o przemocy i gwałcie, epatujący brutalnymi scenami i strumieniami krwi, co oddawałoby realistycznie wiele ludzkich losów w Algierii na początku lat dziewięćdziesiątych. W stosunku do innych współczesnych produkcji sceny tego typu pojawiają się tu bardzo oszczędnie. Nie jest to jednak również epos o pomnikowych postaciach chrześcijańskich męczenników, ani tym bardziej nie jest to opowieść szablonowo dzieląca świat na dobrych chrześcijan i złych muzułmanów. Nawet próby wykorzystania tego filmu do oskarżenia religii jako takiej o skłonność do przemocy spełzają na niczym, bo przecież obie strony konfliktu to ludzie religijni.

Francuski tytuł "Des hommes et des dieux", nawiązujący do śpiewanego na początku filmu psalmu 82 ("Je rzekłem: bogami jesteście, wszyscy jesteście

synami Najwyższego"), można by przetłumaczyć jako "Ludzie i bogowie" albo "O ludziach i bogach". Tytuł ten bardzo precyzyjnie oddaje najgłębszą treść filmu. Opowiada on jakby o dwóch bogach: Bogu miłości i pokoju oraz bogu brutalnej przemocy, przy czym granica między nimi nie pokrywa się wcale z granicą oddzielającą islam od chrześcijaństwa. Oto widzimy muzułmanów - sąsiadów klasztoru, którzy są serdecznymi przyjaciółmi mnichów, zapraszają ich na swoje święta, leczą się u nich i tak jak oni są przerażeni przemocą swoich fanatycznych współwyznawców. To właśnie od tych zwykłych ludzi wychodzi żarliwa prośba, by zakonnicy nie opuszczali Algierii, wracając do bezpiecznej Francji, ale tym samym pozostawiając lokalną społeczność na pastwę tych, którzy w imię Allaha są w stanie podrzynać gardła nie tylko obcokrajowcom, ale nawet własnym pobratymcom.

W tej ponurej scenerii ukazuje się niezwykła moc Ewangelii Chrystusa. Wprawdzie w ostatniej scenie filmu, prowadzeni przez terrorystów zakonnicy odchodzą w góry i nikną we mgle, jednak światło ich pokornej wiary i odwagi nie gaśnie. Przy tym film wcale nie jest lukrowany. Pokazuje niezwykle umiejętnie ich wewnętrzne zmagania, paraliżujący lęk, bolesne dojrzewanie do decyzji, wątpliwości, rozdarcia i spory we wspólnocie, czyli dokładnie to wszystko, co przeżywa ktoś, kto próbuje wcielić w życie słowa Chrystusa: "Miłujcie nieprzyjaciół waszych i módlcie się za tych, którzy was prześladują: tak będziecie synami Ojca Waszego, który jest w niebie" (Mt 5,44). Na tle postawy tych siedmiu mężczyzn, ale też szlachetnych i prostych muzułmanów z algierskiej wioski tym wyraźniej pobrzmiewa przesłanie filmu: kto uważa, że w imię swojej wiary wolno mu stosować brutalną przemoc, staje się *człowiekiem* innego *boga* - boga zła i nienawiści, a w rzeczywistości nadaje religijną legitymację własnej rządzy władzy i przemocy.

Ale także tu film łamie utarte schematy. "Ludzie Boga" wcale nie są tymi, którzy pokornie pozwalają, by dosięgała ich przemoc. Potrafią zdecydowanie mówić "nie", potrafią napominać i domagać się szacunku, chociaż nigdy nie posuwają się do używania środków swoich adwersarzy. W jednej ze scen terroryści włamują się do klasztoru i domagają się od przeora Christiana (Lambert Wilson) wydania lekarstw przeznaczonych do leczenia ludzi z wioski i chcą zabrać ze sobą brata Luca, lekarza (wspaniała, niezwykle sugestywna kreacja Michela Lonsdale'a). Przeor najpierw domaga się opuszczenia terenu klasztoru, mówiąc, że nie wolno do niego wносить broni, a wyszedłszy z napastnikami przed bramę, zdecydowanie odmawia. Wymiana zdań, która następuje wzbudza szacunek nawet u terrorystów. Gdy ich przywódca ze skierowaną ku przeorowi lufą karabinu rzuca: "Nie masz wyboru!", słyszy w odpowiedzi: "Zawsze mam wybór".

"Ludzie Boga" to niewątpliwie bardzo sugestywna, a co najważniejsze - oparta na faktach odpowiedź na doskwierające wielu współczesnym chrześcijanom wątpliwości, czy dziś można jeszcze żyć według Ewangelii. Czy Grand Prix na festiwalu w Cannes w 2010 r., a w 2011 r. nominacja do Oskara dla filmu nieanglojęzycznego oraz uhonorowanie Cezarem za najlepszy film, mogą być odczytywane jako znaki wzmożonego zainteresowania poważną i głęboką tematyką religijną w zeświecczonych społeczeństwach współczesnej Europy i w ogóle w euroatlantyckiej kulturze? Taka teza byłaby zapewne zbyt pochopna. Jedno pozostaje pewne: autorom filmu udało się znaleźć język, który pozwala nie tylko na pozbawione antyreligijnej awersji odsłonięcie patologii religii, ale jednocześnie potrafi ukazać piękno i fascynację, pojawiające się w życiu tych, którzy prawdziwie, bez reszty, ale i bez nienawiści do inaczej myślących oddają się Bogu.

Kwiecień 2011

Dwa kwietnie

Dwie kwietniowe daty z najnowszej historii niewątpliwie naznaczyły zbiorową świadomość Polaków na długie lata, jeśli nie na dziesięciolecia: 2 kwietnia 2005 r. oraz 10 kwietnia 2010 r. Wiele jest między nimi podobieństw, ale i szereg fundamentalnych różnic.

Wspólne jest w tych dwóch datach jedno: każde z tych wydarzeń - zarówno śmierć Jana Pawła II, jak i katastrofa samolotu prezydenckiego pod Smoleńskiem, mocno dotknęły nie tylko pojedynczych ludzi, ale w jakiś dziwny sposób także duchową tkankę polskiego narodu. Obydwa pociągnęły za sobą doświadczenie wspólnoty i pojednania, które nie tylko ogarnęły ludzkie serca, ale stały się wydarzeniami medialnymi na niezwykłą skalę. Obydwa też były związane z wnikaniem w tajemnicę śmierci, czy to przychodzącej jako naturalna kolej rzeczy po długim, aktywnym życiu, czy też wyrywającej zniemacka ludzi w kwiecie ich życiowej sprawności.

Ale są też różnice, które ujawniają się przede wszystkim w długotrwałych skutkach obu wydarzeń. Śmierć Jana Pawła II była przeżyciem wstrząsającym, chociaż przecież spodziewanym, po którym popłynęło morze serdecznych łez, które jednak nie spowodowało narodowej rany. Wręcz przeciwnie, naród polski potrafił przyjąć koniec ważnej dla niego epoki, związanej z obecnością i nauczaniem Rodaka na Stolicy Piotrowej z godnością, dumą i radością. Odnosi się wrażenie jakby ta śmierć utrwaliła jego obecność w sercach Polaków.

Jakże inne są owoce katastrofy smoleńskiej. Wyłobiła ona w polskiej świadomości głęboką ranę, która ciągle nie może się zabiścić. Przyczyną są nie tylko odmienne okoliczności, liczba ofiar, szok wywołany ich niespodziewaną, gwałtowną śmiercią, ale przede wszystkim opóźniające się wyjaśnienie tej

tragedii. Pogłębiające się z miesiąca na miesiąc wrażenie niechęci do odkrycia tła i wszystkich szczegółów tych tragicznych wydarzeń staje się przyczyną podejrzeń i frustracji. Podział społeczeństwa, który już dawno przekroczył granice normalnych w demokracji różnic partyjnych i światopoglądowych, trwa i nieustannie się pogłębia.

Można mieć wątpliwości, czy zestawienie ze sobą dwóch polskich kwietniów jest w ogóle uprawnione. Może jednak te dwa historyczne wydarzenia z najnowszej polskiej historii nie tylko można, ale nawet należy zestawiać ze sobą, aby to pierwsze powinno stać się źródłem siły, by uporać się z obciążającą hipoteką tego drugiego. Gdyby szukać motywów przewodnich nauczania Papieża - Polaka w kwestiach społecznych, to niewątpliwie należą do nich dwa pojęcia: prawda i miłość. Obydwa są równie ważne i jedynie wspólnie stają się światłem przy podejmowaniu trudnych decyzji i przewyżnianiu nierozwiązalnych z pozoru trudności. Ich rozdzielenie prowadzi zawsze do jakiejś formy patologii: prawda bez miłości wyradza się w okrucieństwo, miłość bez prawdy staje się bezwonną słabością.

Przymierze prawdy i miłości głoszone przez Jana Pawła II może stać się siłą, prowadzącą do pojednania Polaków nad smoleńskimi trumnami. Prawda, jakakolwiek by była, musi ujrzeć światło dzienne. Apele o pojednanie nie zdadzą się na nic, jeżeli nie zostanie zaspokojona elementarna potrzeba poznania prawdy dotyczącej okoliczności tragedii prezydenckiego samolotu. Wręcz przeciwnie - opóźnianie jej ujawnienia może nie tylko karmić podejrzenia o zamierzone ukrywanie prawdziwego tła wydarzeń, ale też zatruć życie polityczne w Polsce na długie lata. W czasie swego pobytu w Olsztynie 6 czerwca 1991 r. Jan Paweł, rozważając znaczenie ósmego przykazania Dekalogu w życiu społecznym, przypomniał fundamentalną zasadę komunikacji międzyludzkiej: *Słowo ludzkie jest i powinno być narzędziem prawdy*. Ale też

domagając się prawdy nigdy ni wolno zapominać o tym, że ostatnie słowo należy do miłości, która nie jest możliwa bez przebaczenia i pojednania. *Prawda zostaje ponizona także wówczas, gdy nie ma w niej miłości do niej samej i do człowieka*, powiedział dalej Jan Paweł II.

Trudno oprzeć się symbolicznej wymowie tych dat: pierwsza rocznica katastrofy smoleńskiej jest obchodzona między szóstą rocznicą śmierci Jana Pawła II a uroczystością jego beatyfikacji. Jak zareagowałby papież Polak na katastrofę smoleńską i na fakt, że po upływie roku ciągle jeszcze kulisy tej tragedii osnute są gęstą mgłą? Może domagałby się prawdy? Może apelowałby o pojednanie? A może jedno i drugie - w imię prawdy i miłości?

Maj 2011

Szlak Jana Pawła II

W beskidzkiej miejscowości Skawica znajduje się tablica upamiętniająca ostatnią wędrówkę górską ks. Kard. Karola Wojtyły przed jego wyborem na Stolicę Piotrową. W dniu 9 września 1978 r. krakowski kardynał wyruszył stąd w kierunku Hali Krupowej i dalej przez Policę ku Hali śmietanowej i przełęcz Krowiarki. Pieszy turysta, idący tym szlakiem znajdzie tu wszystko, co zazwyczaj przeżywa się na beskidzkich szlakach: są tu męczące podejścia, ale i wspaniałe polany widokowe, z których widać masyw Babiej Góry, są rozwidlenia szlaków i momenty, w których można łatwo zabłądzić, gdyż gwałtowne wichry zniszczyły drzewa, na których namalowano szlaki, jest rześki beskidzki wiatr, ale także wspaniałe czyste powietrze i cudowna przyroda.

Kiedy idzie się tym szlakiem, mając w pamięci świeże wspomnienia beatyfikacji Jana Pawła II, wtedy człowiek raz jeszcze uświadamia sobie, że oto do chwały ołtarzy został podniesiony nie tylko wybitny teolog, świętobliwy

hierarcha Kościoła, wytrawny obserwator (a czasem i aktywny uczestnik) światowej sceny politycznej, ale też zwyczajny człowiek. Kościół czci jako błogosławionego kogoś, kto kochał górskie włości, trud wspinania się po stromych zboczach, smak herbaty w starych drewnianych schroniskach, kto siadywał na gołej ziemi, by zjeść niesione w plecaku kanapki, kto miał czas, by z przyjaciółmi przemierzać górskie hale. Niewątpliwie te zwyczajne cechy tego niezwykłego człowieka sprawiły, że ludzie czują z nim tak głęboką, niemal przyjacielską więź, której nie jest w stanie osłabić świadomość, że miało się do czynienia z człowiekiem wyjątkowym - ze świętym.

Jednocześnie jednak właśnie ten konkretny beskidzki szlak może być jakby symbolem całego życia Karola z Wadowic. Trudne, męczące podejścia, chwile cichego odpoczynku, rozstaje dróg, na których trzeba było dokonywać życiowych wyborów, różne pogody: spiekoty i siekące deszcze, ale także wspaniałe momenty, gdy ma się niemalże u stóp cały świat - to po prostu swoista "przypowieść o życiu" Jana Pawła II. Pewnie w jakimś stopniu cechy charakteru, które okazały się tak istotne i cenne w jego posłudze Pasterza Powszechnego, kształtowały się na tych beskidzkich ścieżkach: umiejętność czytania znaków wskazujących kierunek marszu, ale także zdolność do prognozowania pogody, wytrwałość w pokonywaniu zmęczenia, cierpliwość w znoszeniu niepogody, a nade wszystko świadomość celu, do którego się dąży - to cechy niezbędne każdemu chrześcijaninowi, a szczególnie temu, komu powierzono w Kościele władzę pasterską. Pewnie w takich chwilach beskidzkich wędrówek pojawiały się w jego umyśle refleksje, które po kilku dziesięcioleciach, jako stary już wędrowiec, wyrazi w "Tryptyku rzymskim":

Zatoka lasu zstępuje

w rytmie górskich potoków...

Jeśli chcesz znaleźć źródło,

*musisz iść do góry, pod prąd.
Przedzierać się, szukaj, nie ustępuj,
wiesz, że ono musi tu gdzieś tu być -
Gdzie jesteś, źródło?... Gdzie jesteś źródło?!*

Beskidzki szlak papieski może symbolizować cały szlak życia Jana Pawła II, a szczególnie ten jego odcinek, który rozpoczął się 16 października 1978 r. Świat zobaczył wtedy człowieka, który z jednej strony potrafił z niezwykłą konsekwencją i determinacją realizować cele, jakie odczytywał jako wyznaczone mu przez Boga. Z drugiej jednak strony świat zobaczył kogoś, kto potrafił, jak dawniej, wybierać się na wędrówki ze swoimi przyjaciółmi, który chciał być bliski konkretnym ludziom i którego obchodziły ich codzienne troski, rozterki i cierpienia. Nic dziwnego, że kiedy Jan Paweł II na swoim życiowym szlaku zbliżał się 2 kwietnia 2005 r. do ostatniego schroniska, szły z nim już nieprzebrane tłumy, towarzysząc mu aż do samego progu domu Ojca.

Pnąc się beskidzkim szlakiem ze Skawicy ku Hali Krupowej ma się nie tylko wrażenie wędrowania po starych śladach Jana Pawła, ale odczuwa się zaproszenie do kroczenia za nim na jego życiowym szlaku zawierzenia się Bogu. Dzięki temu zawierzeniu jego życiowa droga wiodła go pewnie przez wszystkie trudne podejścia, przeszkody, rozstaje i niepogody - ku ostatecznemu spotkaniu z Bożą miłością.

Czerwiec 2011

Aborcja - prawem człowieka?

Ogłoszony w czerwcu 2011 wyrok Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu w sprawie „R.R. przeciwko Polsce”, zasługuje na

uwagę, chociaż na pierwszy rzut oka przypomina szereg innych tego typu wyroków (np. głośny wyrok w sprawie Alicji Tysiąc). Polska została pozwana za uniemożliwienie dostępu do badań prenatalnych kobiecie ciężarnej, u której dziecka podejrzewano poważne nieprawidłowości rozwojowe. Prowadzący R.R. lekarz odmówił wykonania badań prenatalnych, gdyż kobieta oświadczyła, że w razie potwierdzenia diagnozy o upośledzeniu dziecka podda się zabiegowi przerwania ciąży. Wykonane ostatecznie badania potwierdziły podejrzenia, jednak minął już termin, w którym można było dokonać w Polsce legalnej aborcji. Ostatecznie w 2002 r. kobieta urodziła córkę obarczoną zespołem Turnera. Trybunał Strasburski przyznał R.R. odszkodowanie finansowe.

Nie brak komentarzy krytykujących postawę lekarzy, którzy nie chcieli wykonać badań prenatalnych. Nie wolno przecież, jak się podkreśla, demonizować badań prenatalnych, które są przecież wykonywane z różnych powodów i jako takie nie są ani moralnie naganne, ani też prawnie zabronione. To prawda, badania prenatalne mogą służyć nie tylko uspokojeniu rodziców, ale także terapii dzieci w okresie prenatalnym. Jednak przy jasnej deklaracji dokonania aborcji ze strony matki badania prenatalne stają się niczym innym, jak tylko procedurą selekcyjną, która ma wyeliminować rozwijające się w sposób nieprawidłowy dziecko. Wtedy nie tylko sama aborcja, ale także prowadzące do niej działania stają się niemoralne, a podjęcie ich nabiera charakteru bezpośredniej współpracy w czynie z gruntu niegodziwym, jakim jest eliminacja upośledzonej istoty ludzkiej.

Zdaniem niektórych komentatorów, wyrok ten miałby mimo wszystko oznaczać porażkę lobby proaborcyjnego, gdyż zgodnie z wyrokiem Trybunału ukarane zostało państwo polskie (za nie zapewnienie dostępu do świadczeń), a nie pojedynczy lekarz, który odmówił R.R. wydania skierowania na badania prenatalne, stanowiące warunek legalnej aborcji. Gdyby nawet miało to być

zwycięstwo klauzuli sumienia, jest to jednak zwycięstwo pyrrusowe. Wystarczy dobrze przyrzeć się uzasadnieniu wyroku, a dostrzeże się w nim kolejny krok zmierzający ku zmuszeniu Polski do legalizacji aborcji.

Uzasadnienie wyroku jest rzeczywiście bulwersujące. Uznano mianowicie, że odmawianie kobiecie w ciąży badań prenatalnych nie tylko narusza art. 8 Europejskiej Konwencji o Ochronie Praw Człowieka, stwierdzający prawo każdej osoby do poszanowania życia prywatnego i rodzinnego, ale także art. 3 tejże konwencji, który zakazuje tortur i niehumanitarnego albo poniżającego traktowania. Chociaż nie zostało to wprost stwierdzone, takie zakwalifikowanie zaskarżonego działania lekarskiego oznacza ostatecznie, że prawo do aborcji uzyskuje rangę analogiczną do innych podstawowych praw człowieka. Odmowa wykonania aborcji albo też podjęcia działań, które do niej prowadzą i ją umożliwiają byłaby jednoznaczna z naruszeniem istotnego prawa człowieka. To bardzo niepokojący rozwój sytuacji, jawnie sprzeczny z dotychczasową praktyką nie wywierania nacisku przez centralne instytucje europejskie (Unię Europejską, ale także Radę Europy, a właśnie organem tej ostatniej jest Europejski Trybunał Praw Człowieka) na ustawodawstwo regulujące te kontrowersyjne dziedziny, jakimi jest aborcja czy eutanazja i pozostawiania tychże regulacji w gestii poszczególnych państw.

Tego typu wyroki, poza konkretnymi skutkami finansowymi, mają także swój wymiar propagandowy i precedensowy. Są prawnym przełożeniem ofensywy już nie tylko na rzecz legalizacji aborcji rozumianej jako prywatna sprawa pojedynczej kobiety, ale także jako elementu tzw. "zdrowia reprodukcyjnego", a prawa do niej - jako jednego z fundamentalnych praw człowieka. Jeżeli odmowa aborcji zacznie być traktowana na równi z torturami i ciężkimi wykroczeniami przeciwko prawom człowieka, będzie to oznaczało niezwykle dotkliwy nacisk na pojedynczego lekarza, ale także na

odpowiedzialnych za służbę zdrowia i posłów. Tym ważniejsze jest zatem okazanie wsparcia zarówno tym lekarzom, którzy ryzykując swoją zawodową reputację mają odwagę na wyrażenie sprzeciwu sumienia, ale też politykom i prawnikom, którzy odważnie występują z inicjatywami zmierzającymi do jak najszerzej ochrony życia nienarodzonych.

Lipiec 2011

Polska na czele!

Objęcie przez nasz kraj prezydencji w Unii Europejskiej sprawiło, że Polska w większym niż dotychczas stopniu stanie się przedmiotem uwagi europejskiej opinii publicznej. Warto więc u progu tego ważnego półrocza zapytać, co Polska ma do zaoferowania Unii poza polskimi truskawkami, pamiątkowymi breloczkami i wyjątkowymi dokonaniem wybitnych polskich muzyków, prezentowanymi na hucznej inauguracji naszej prezydencji na Placu Defilad w Warszawie?

Nie ulega wątpliwości, że traktowanie prezydencji wyłącznie w kategoriach okazji, by umożliwić skuteczniejsze promowanie partykularnych interesów, byłoby nie tylko nieeleganckie, ale łamałoby podstawy koncepcji Europy jako solidarnej wspólnoty wolnych i równych państw. Jednak równie nieodpowiedna byłaby rezygnacja ze zwiększonych możliwości podejmowania inicjatyw i konkretnych działań w imię obawy przed zbytnim "wychylaniem się". Jak inne państwa czyniły to w czasie swojej prezydencji, również Polska – bez nieuzasadnionych kompleksów, ale też bez zbędnego zadęcia – może i powinna wpływać na realny kształt prowadzonego na forum ogólnoeuropejskim dialogu, który często przybiera formę zasadniczego sporu o przyszły kształt wspólnoty.

A jest się na pewno o co spierać! Na pierwszy rzut oka może się wydawać, że najistotniejsze są problemy gospodarcze, szczególnie nieustanne zagrożenie całej unijnej gospodarki płynące ze strony plajtującej Grecji i innych zagrożonych gospodarek lokalnych. Jednak właściwa reakcja na te konkretne problemy zależeć będzie teraz i w przyszłości nie tylko od wiedzy i umiejętności finansistów, ale także od tego, czy Europa stanie się rzeczywiście wspólnotą wartości, wspólnotą duchowo-kulturową. Jako taka właśnie była ona pomyślana przez powojennych protagonistów idei jedności europejskiej, ale też do takiego obrazu lubią się od czasu do czasu odwoływać czołowi europejscy politycy. Cóż, kiedy – jak zawsze – problem tkwi w definicji. Docierający do nas coraz częściej obraz Europy, która akceptuje wszelkie wyznawane przez pojedynczych Europejczyków (choćby były najdziwniejsze) wartości, z wyjątkiem religijnych, nie spełnia oczekiwań ogromnej większości ludzi wierzących, przyczyniając się do tego, że nawet niegdysiejsi entuzjaści zaczynają dystansować się od idei wspólnej Europy.

Warto w tym kontekście przypomnieć słowa Jana Pawła II, sformułowane w 1999 r., a więc niemal w przeddzień akcesu Polski do Unii Europejskiej. Ogłaszając św. Brygidę Szwedzką, św. Katarzynę ze Sieny i św. Teresę Benedyktę od Krzyża Współpatronkami Europy, papież stwierdził: *Aby zbudować nową Europę na trwałych fundamentach, nie można jedynie odwoływać się do interesów ekonomicznych, które czasem łączą, kiedy indziej jednak dzielą, lecz trzeba się oprzeć na autentycznych wartościach, mających podstawę w powszechnym prawie moralnym, wszczepionym w serce każdego człowieka. Gdyby Europa mylnie utożsamiała zasadę tolerancji i szacunku dla wszystkich z obojętnością etyczną i sceptycyzmem wobec nieodzownych wartości, weszłaby na niezwykle niebezpieczną drogę, na której prędzej czy*

później pojawiłyby się pod nową postacią najbardziej przerażające widma z jej przeszłości.

Obserwując systematyczne rugowanie treści chrześcijańskich z oficjalnych dokumentów instytucji europejskich, a jednocześnie ofensywne, niekiedy wręcz agresywne promowanie modeli zachowań i relacji, godzących w rodzinę i podstawową wartość życia najsłabszych członków społeczeństwa, trudno nie uznać tych papieskich słów za prorocze.

Czy Polsce uda się w czasie swojej prezydencji przynajmniej zwrócić uwagę na niezbędną szacunek dla podstawowych wartości? Wszystko zależy będzie od tego, czy ci, którzy nas reprezentują, zbiorą się na odwagę nonkomformizmu, czy też poprzez swoje inicjatywy i działania w oportunistyczny sposób wpiszą się w te bardzo problematyczne tendencje. Skoro już samo zgłoszenie w Sejmie popieranego przez ponad pół miliona Polaków projektu ustawy o całkowitym zakazie aborcji jest w niektórych środowiskach postrzegane jako zagrożenie naszego wizerunku w Europie, trudno być optymistą w tej materii. Może zatem sami obywatele naszego kraju – właśnie w okresie polskiej prezydencji – powinni bardziej energicznie domagać się budowania Europy jako wspólnoty szacunku dla wartości podstawowych?

Sierpień 2011

Rozstrzelana Norwegia

Wydarzenia, jakie 22 lipca 2011 r. rozegrały się w norweskiej stolicy oraz na wyspie Utøya, zmuszają nie tylko do refleksji, ale do ponownego rozważenia dotychczasowych schematów i ocen. Wielu ludzi, przyzwyczajonych do przejawów islamskiego terroryzmu, ma poważne trudności ze zrozumieniem

motywacji Andersa Behringa Breivika, Europejczyka, będącego w dodatku obywatelem jednego z najbardziej tolerancyjnych krajów europejskich, który w imię wyznawanych przez siebie idei był w stanie zamordować z zimną krwią ponad osiemdziesięcioro swoich współobywateli, posuwając się nawet do dobijania rannych.

Agencje informacyjne określiły go jako skrajnie prawicowego radykała. On sam scharakteryzował siebie jako konserwatystę i chrześcijanina, zamieszczając przy tym swoje zdjęcia zarówno w uniformie wojskowym, jak też w tradycyjnym stroju masońskim, z bronią, jak też w sielankowej scenerii spotkań z przyjaciółmi. Breivik był członkiem loży masońskiej, z której po dokonaniu zbrodni został wykluczony. Najłatwiej byłoby uznać wydarzenia tragicznego lipcowego piątku jako czyn osoby cierpiącej na poważne psychiczne dewiacje, jednak takie wyjaśnienie byłoby zbyt proste. Wyrafinowany i obliczony na wywołanie medialnej i politycznej burzy na skalę europejską i światową plan wskazuje raczej na osobę wyrachowaną i działającą z zimną precyzją, ogarniętą niemalże demoniczną nienawiścią.

Historia uczy wprawdzie z jednej strony, że pewne idee i poglądy same w sobie mogą zawierać zarzewie nienawiści i przemocy, z drugiej jednak można przytoczyć przykłady aktów terrorystycznych, motywowanych zarówno prawicowymi, jak i lewicowymi ideami i dokonywanych zarówno przez ateistów (ze świadomością braku odpowiedzialności przed jakąkolwiek siłą wyższą), jak i przez wierzących (w imię swojej religijnej prawdy i ku czci wyznawanego bóstwa). Wszystkie te motywacje, chociaż tak różne, czasami diametralnie sobie przeciwne, mają jedną wspólną cechę, mianowicie przekonanie o tym, że dla osiągnięcia wyższych celów wolno traktować niewinnych ludzi instrumentalnie, a w ostateczności nawet ich zabijać. Czyn Breivika, który wstrząsnął światową opinią publiczną i słusznie spotkał się z jednoznacznym

potępieniem, nie jest jedynie aktem pojedynczego ekstremisty, ale szczególnie toksycznym owocem mentalności, charakteryzującej się brakiem szacunku dla osoby ludzkiej i jej fundamentalnego dobra - życia. Współczesny świat, szczególnie w zakresie ekonomii i polityki dostarcza wielu przykładów, w których jednostka traktowana jest jak rzecz, którą można się posłużyć.

Kiedy czyta się komentarze internautów na portalach informacyjnych do aktualnych wydarzeń, nie można oprzeć się wrażeniu, że niektórzy z nich są gotowi, na razie wirtualnie (a raczej werbalnie) zniszczyć swoich adwersarzy. Jak zachowaliby się ci ludzie w sytuacji, gdy organy państwowe stają się niewydolne, jak to ma zazwyczaj miejsce podczas wojny? Przykład mordów na i okrucieństw, dokonywanych na cywilach, jakie w latach dziewięćdziesiątych miały miejsce w byłej Jugosławii, nie pozostawiają wątpliwości, że nienawiść, pielęgnowana w sercu przez lata, bardzo łatwo może przeistoczyć się w okrutną przemoc. Dlatego nie wystarczy wychowanie do tolerancji, które kładzie nacisk jedynie na zewnętrzne zachowania, a przy tym bardzo często nie uwzględnia w ogóle relacji z tymi, którzy z racji wieku czy też kondycji zdrowotnej nie są w stanie zająć stanowiska, wyrażać swojej opinii i bronić swoich interesów. Potrzebne jest wychowanie do szacunku dla każdej osoby ludzkiej i do poszanowania jej życia. Niezależnie od tego, czy traktuje się je jako Boży dar, czy też jedynie jako podstawowe dobro osoby, jego nienaruszalna wartość nie może być kwestionowana.

Nie oznacza to, że należy zakazać wszelkich politycznych i społecznych sporów i unikać drażliwych tematów, do których należy także problem, którym jest postępująca islamizacja Europy. Wyrażanie sprzeciwu np. wobec rażącego braku równowagi między prawami wyznawców islamu w Europie a prawami chrześcijan w krajach islamskich, nie jest jeszcze "mową nienawiści", ale próbą zakwestionowania zasadności konkretnych rozwiązań politycznych, które

prowadzą w ślepy zaułek. Granicą takiego dyskursu będzie jednak zawsze wyrażanie pogardy i brak szacunku dla człowieka, kimkolwiek by nie był. Takie nastawienie prędzej czy później prowadzi do terroryzmu.

Wrzesień 2011

Wrosnąć w Chrystusa

XXVI Światowy Dzień Młodzieży w Madrycie nie mógł odbyć się zupełnie spokojnie, chociażby ze względu na to, że współczesna Hiszpania stała się w ostatnich latach areną planowej, czasami wręcz zinstytucjonalizowanej laicyzacji życia społecznego, a publiczne wyrażanie niechęci wobec Kościoła katolickiego i papieża - niemalże modą. W żadnym chyba europejskim kraju nie dokonano w tak krótkim czasie tylu radykalnych zmian w dziedzinie obyczajowej i tak zdecydowanego zepchnięcia wiary chrześcijańskiej na margines, jak w rządzonej przez socjalistów Hiszpanii. Trudno się zatem dziwić, że także w czasie Dni Młodzieży w bardziej jaskrawy niż dotychczas sposób zderzyły się ze sobą dwa światy, dwie filozofie życia, dwa sposoby myślenia. Z jednej strony kilkutysięczny, czasami obraźliwy i agresywny tłum antypapieskich demonstrantów, z drugiej - półtoramilionowa rzesza młodych ludzi "ze wszystkich pokoleń, ludów, języków" (por. Ap 7,9), która zastygła w kompletnej ciszy przed Najświętszym Sakramentem. I stary papież, który dla tych pierwszych jest symbolem zacołania, marnotrawienia pieniędzy, nadużyć seksualnych i intelektualnej ciemnoty, a dla tych drugich - aniołem nadziei, symbolem życiowej alternatywy i przekonania, że w chaosie współczesnego świata nie tylko istnieje jakiś niewzruszony punkt odniesienia, ale że zbudowanie życia na wierze w Chrystusa jest czymś wielkim, na miarę aspiracji i oczekiwań młodych serc.

Gdyby chciało się przyłożyć do Światowych Dni Młodzieży miarę, jaką zazwyczaj mierzy się tego typu wielotysięczne spotkania, to w zasadzie nic tu nie pasuje. Sędziwy papież nie ma żadnych walorów, jakie zazwyczaj fascynują ludzi młodych. Ale też wcale nie o niego tutaj chodzi. Wielu młodych zdaje się podskórnie przeczuwać prawdę jego słów, które nie koncentrują słuchaczy na ziemskich nadziejach, ale wskazują na coś, co znacznie je przekracza. *Drodzy młodzi, nie dostosowujcie się do czegoś, co jest mniejsze od Prawdy i Miłości, nie dostosowujcie się do kogoś, kto jest mniejszy od Chrystusa*. Te słowa Benedykta XVI wskazują na samo centrum walki duchowej, jaka toczy się w sercu każdego człowieka, a ze szczególną siłą rozgrywa się w sercach młodych ludzi. Wprawdzie pokusa poprawności, która spłyca oczekiwania, tępi wysokie aspiracje i każe zadowalać się szybkimi i łatwymi sukcesami, zdaje się często wygrywać ze żmudnym poszukiwaniem Prawdy i Miłości, które na dodatek wymaga wyrzeczeń i ofiar. Jednak to właśnie ta płynąca z chrześcijańskiej wiary obietnica okazuje się ciągle na nowo fascynować i pociągać młodych, mimo tak wielu atrakcyjnych i o wiele łatwiejszych kontrpropozycji.

Papież nie stara się uwodzić młodych lukrowaną ofertą. Nie waha się wskazać na ten wymiar chrześcijańskiej wiary, który wielu współczesnym ludziom, szczególnie wielu młodym, sprawia największą trudność: na związek Chrystusa z Kościołem. Paradoksalnie to właśnie modny slogan: "Chrystus - tak! Kościół - nie!", który w zamyśle jego propagatorów ma umożliwić dotarcie do prawdziwego Chrystusa, nieskażonego naleciałościami kościelnej tradycji i grzechami ludzi Kościoła, prowadzi w ostateczności do odejścia od Niego. Staje się on najpierw źródłem indywidualizacji i prywatyzacji wiary, a potem niepostrzeżenie obraz Chrystusa wykrzywia się, karmiony domorostą interpretacją Biblii, by ostatecznie rozmyć się w całej paale postaci, nurtów myślowych i religijnych, praktyk medytacyjnych i ezoterycznych kręgów

propagujących pracę z umysłem. Dlatego też papież podkreśla: *Za Jezusem nie można pójść samemu. Kto ulega pokusie, by pójść „na własną rękę” lub żyć wiarą według dominującej w społeczeństwie mentalności indywidualistycznej, temu grozi, że nigdy nie spotka Jezusa Chrystusa, lub że skończy idąc za fałszywym Jego obrazem. [...] Mieć wiarę oznacza opierać się na wierze twoich braci oraz że twoja wiara służy w ten sam sposób jako wsparcie dla wiary innych. Proszę was, drodzy przyjaciele, abyście kochali Kościół, który zrodził was do wiary, który wam dopomógł w lepszym poznaniu Chrystusa, który pozwolił wam odkryć piękno Jego miłości.*

Dla wielu młodych ludzi, nie tylko ze społeczeństw Zachodu, ale w coraz większym stopniu także Polaków, te słowa Benedykta XVI stanowią nie lada wyzwanie. Papież jednak zdaje się mocno wierzyć w młodych. Odnosząc się do gwałtownej wichury, która w czasie poprzedzającego główne uroczystości wieczornego czuwania rozpętała się nad Madrytem, formułuje przesłanie niezłomnej nadziei: *Dziękuję za ofiarę, jaką uczyniliście i którą, w co nie wątpię, złożycie wielkodusznie Panu. [...] Dziękuję wam za wspaniały przykład, jaki daliście. Jak tej nocy, z Chrystusem będziecie mogli stawiać czoło życiowym próbom. Nie zapominajcie o tym!*

Październik 2011

Nowa tolerancja

Wyrok Sadu Rejonowego w Gdyni, stwierdzający, że znieważenie i podarcie Biblii przez Adama "Nergala" Darskiego w czasie koncertu jego death metalowego zespołu *Behemoth* nie stanowiło obrazy uczuć religijnych, jak też późniejsze zaangażowanie go przez telewizję publiczną w charakterze jurora do jednego z programów promujących młode talenty muzyczne, są kolejnymi

krokami na drodze ku szeroko zapowiadанemu przez wielu czołowych polityków unowocześnieniu naszego kraju.

W atlasie aksjologicznym zwolenników tego nowoczesnego świata czołowe miejsce zajmuje magiczne niemal słowo tolerancja. Nie jest to już jednak stara, dobra tolerancja, której blisko było do miłości bliźniego i która opierała się na szacunku wobec każdego człowieka, mimo inności i obcości jego sposobu życia i poglądów. Ta dawna tolerancja pewnie nie poznałaby swojej młodszej imienniczki.

Nowa tolerancja ma trzy cechy, które diametralnie różnią ją od dotychczasowych standardów szacunku dla obcości. Pierwszą z tych cech jest absolutna obojętność na inne wartości. Nowa tolerancja nie uznaje żadnych świętości, niwelując każdy etyczny punkt odniesienia, poza sobą samą. Ze szczególną atencją i zapalczywością zwalcza jednak wartości religijne.

Drugą cechą nowej tolerancji jest jej tchórzliwość. Nie uznaje ona odniesienia do prawdy, więc właściwie poza nią samą nie ma już nic, o co trzeba by się zmagać. Dlatego można by oczekiwać, że nowa tolerancja będzie niszczyła wszystkich uznających istnienie zobowiązującej prawdy jako nietolerancyjnych, a więc przede wszystkim zwolenników wartości religijnych, kimkolwiek by nie byli. Jednak ona wybiera na obiekt agresji jedynie te wspólnoty religijne, które ani nie dysponują szerokimi wpływami w świecie biznesu i polityki, ani też nie prześladują czynnie swoich przeciwników. Nadają się do tego szczególnie katolicy, których przekonania i święte symbole stają się przedmiotem szczególnie wyrafinowanych i agresywnych ataków.

I tu ujawnia się trzecia cecha nowej tolerancji: asymetryczność ferowanych ocen. Podarcie Biblii i słowne bezczeszczenie chrześcijańskich symboli i samych chrześcijan jest dla niej jedynie swoistą formą sztuki, kierowaną do hermetycznej publiczności. Biada jednak, gdy wierzący zechcą

bronić tego, co uważają za święte. Wówczas zostają okrzyknięci wściekłym tłumem rodem z ciemnego średniowiecza, posługującym się "mową nienawiści" i czyhającym na bezbronnych ateistów, którzy teraz muszą niemalże bać się o swoje życie.

Ofensywne promowanie nowej tolerancji, nie tylko przez grupy antyklerykalne i ateistyczne, ale także przez europejskie i krajowe instytucje i organy państwowe, musi niepokoić. Odnosi się wrażenie, że nie ma takiej inwektywy, którą obrzuca się przekonania i symbole katolickie, która nie mogłaby być później uznana za wyraz swobody artystycznego wyrazu, wolności słowa czy też uprawnionej krytyki, przy czym nieistotne jest, czy jej powodem będą wyprawy krzyżowe, przypadki pedofilii wśród księży, czy też niedzisiejsza moralność seksualna. Zawsze się znajdzie jakiś powód, tym bardziej, gdy skandalizujący artyści czują poparcie decydentów, słyszą głośno wyrażane słowa otuchy swojego środowiska, a przede wszystkim obserwują bezradne milczenie wierzących.

Najsmutniejsze jest to, że promowanie nowej tolerancji nie tylko godzi w Kościół katolicki i obraża tych, którzy się z nim utożsamiają, ale na dłuższą metę może doprowadzić do wulgaryzacji całego życia społecznego. Wartości religijne były zawsze dla polskiego społeczeństwa istotnymi punktami odniesienia, decydującymi nie tylko o postawie wzajemnego szacunku, ale także o gotowości do ponoszenia ofiar dla dobra wspólnego i Ojczyzny. Zgoda na ich ośmieszanie i bezczeszczenie jest na dłuższą metę działaniem samobójczym, naruszającym delikatną tkankę etyczną, której nie da się zastąpić nawet bardzo zagęszczoną siecią przepisów prawnych.

Ale nowej tolerancji to nie obchodzi. Nowy, wspaniały świat, jaki promuje, ma być światem, w którym każdy katolik, jeżeli tylko opuści progi

swego domu, będzie musiał udawać ateistę. Może wtedy ludzie zrozumieją, że nowa tolerancja to w istocie przebrany totalitaryzm?

Listopad 2011

O neutralności światopoglądowej raz jeszcze

W zasadzie nikogo nie dziwi, że po spektakularnym sukcesie wyborczym jedną z pierwszych inicjatyw Ruchu Poparcia Palikota stało się żądanie usunięcia krzyża z sali obrad sejmu. Ma to być element walki o świeckie państwo i przestrzeganie zasad Konstytucji (a nawet Konkordatu!), z której rzekomo ma wynikać zakaz umieszczania krzyża "w miejscu, gdzie się uchwała ustawy". Jeżeli ta inicjatywa nie odniesie skutku, jej rzecznicy zapowiadają odwołanie do Trybunału Konstytucyjnego, a w razie potrzeby nawet do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu.

Warto przyjrzeć się bliżej odmienianym przez wszystkie przypadki określeniom: "neutralność światopoglądowa" oraz "świeckie państwo" oraz przywoływanym fragmentom Konstytucji RP. W Art. 25.2 Konstytucji RP czytamy: "Władze publiczne w Rzeczypospolitej Polskiej zachowują bezstronność w sprawach przekonań religijnych, światopoglądowych i filozoficznych, zapewniając swobodę ich wyrażania w życiu publicznym". W świetle tego fragmentu Konstytucji widać wyraźnie, jak należy rozumieć neutralność światopoglądową: jest to bezstronność władz wobec różnych opcji światopoglądowych, jeżeli tylko zachowują naczelną zasadę szacunku dla godności człowieka (art 30). Neutralność ta nie oznacza jednak i nie może oznaczać "ślepoty" państwa na sferę wartości. Państwo nie traktuje równo wartości i antywartości, o czym świadczy jasno preambuła do Konstytucji. Wskazuje ona na to, że wśród jej sygnatariuszy, reprezentujących cały naród

byli "zarówno wierzący w Boga będącego źródłem prawdy, sprawiedliwości, dobra i piękna, jak i nie podzielający tej wiary, a te uniwersalne wartości wywodzący z innych źródeł". Chociaż nie zawsze to, co w konkretnej kwestii jest prawdą, sprawiedliwością, dobrem i pięknem jest oczywiste (i dlatego uprawniony jest spór między różnymi poglądami), to jednak tekst Konstytucji zakłada pewną wspólną podstawę dotyczącą wartości, a także to, że wolno, również publicznie, wywodzić te uniwersalne wartości z wiary w Boga, tak jak wolno, kierując się tymi wartościami, publicznie nie podzielać tej wiary.

Krzyż w sali obrad sejmiku, który wcale nie zajmuje czołowego miejsca, jest symbolem tych fundamentalnych wartości prawdy, sprawiedliwości, dobra i piękna dla ogromnej większości wierzących posłów, którzy wywodzą je z chrześcijańskiej wiary. Jego obecność nikogo nie zmusza do podzielenia chrześcijańskiego światopoglądu. Uciekając się do pewnej symboliki, można by wskazać na dwoje drzwi za trybuną sejmową. Te z dwójga drzwi, nad którymi wisi krzyż, symbolizują wierzących. Drugie drzwi, nad którymi nic nie wisi, symbolizują tych, którzy podzielają wprowadzone uniwersalne wartości (taką przynajmniej trzeba mieć nadzieję), ale nie dzielą chrześcijańskiej wiary.

Dla każdego, kto z uwagą śledzi dyskusję o obecności krzyża w sejmie jest jednak jasne, że jego inicjatorom wcale nie chodzi o równowagę i bezstronność państwa, ale o jego ateizację. Ostatecznym celem tej kampanii jest przekonanie społeczeństwa (a w ostateczności osiągnięcie tego celu przez ośmieszenie i zastraszenie), że wierzący mogą brać udział w życiu społecznym i wypowiadać się na forum publicznym, jedynie pod warunkiem zachowania "neutralności" światopoglądowej. Innymi słowy prawo głosu w debacie publicznej uzyskają jedynie wtedy, gdy zostawią swoje religijne przekonania w sferze prywatnej. Rzecz ciekawa: rzecznicy takiego poglądu nie czują wcale potrzeby przestrzegania tej zasady w stosunku do ich własnego światopoglądu. Wręcz

przeciwnie: lansowana "neutralność" światopoglądowa pokrywa się po prostu w ich mniemaniu z ich laicko-ateistycznymi przekonaniami. Oni nie muszą z niczego rezygnować. Im wolno otwarcie deklарować ateizm i domagać się, by to właśnie niewiara była punktem wyjścia stanowionego prawa. Oni uważają, że są w przestrzeni publicznej u siebie, wierzący są traktowani jak obcy.

Nie trzeba wielkiej przenikliwości, by dostrzec, że roszczenie neutralności światopoglądowej oznacza po prostu ateizację sfery publicznej, a usunięcie z niej krzyży (bo na sejmie się nie skończy!) jest pierwszym aktem wypchnięcia wierzących z życia społecznego, chyba, że starannie będą ukrywać swój religijny światopogląd i będą oficjalnie działać tak, jakby byli ateistami. Zdecydowany sprzeciw wobec tego typu inicjatyw jest dla każdego wierzącego nakazem chwili.

Grudzień 2011

Czy Kościół jest za karą śmierci?

Niezależnie od możliwych politycznych motywów stojących za inicjatywą przywrócenia w polskim systemie penitencjarnym kary śmierci, temat ten po raz kolejny stał się przedmiotem debaty publicznej. Od razu też pojawiły się stwierdzenia, że stanowisko Kościoła w tej sprawie jest niejasne i dwuznaczne, a zatem katolicy mogą ze spokojnym sumieniem wybrać w tej materii jedną z opcji: za bądź też przeciw zasądzaniu i stosowaniu kary śmierci. Ziarnem prawdy w powyższych opiniach jest to, że Kościół rzeczywiście dokonuje tu istotnych rozróżnień, których nie zgłasza np. w odniesieniu do problematyki aborcji. Mimo to jednak trudno mówić o niejednoznaczności i wahaniu Magisterium w tej materii.

Chcąc krótko wyrazić stanowisko Kościoła w odniesieniu do kary śmierci, można wskazać na trzy istotne aspekty:

Po pierwsze, wyjątkowa wartość człowieka, którą tradycyjnie zwykło się wyrażać w pojęciu godności, odnosi się do każdej istoty ludzkiej, niezależnie od pochodzenia, stanu zdrowia, fazy rozwojowej, znaczenia dla społeczeństwa, ale także niezależnie od zasług i win, jakie z jej postępowaniem się wiążą. Człowiek może utracić przyznaną mu "godność" prezydencką, uzyskaną "godność" profesorską, odziedziczoną "godność" szlachecką, ale nie może utracić godności istoty ludzkiej, która nie jest uzyskana, przyznawana, dziedziczona, ale wrodzona, a więc związana z samym istnieniem. Kto został poczęty i narodził się jako człowiek, nie przestaje nim być, dopóki żyje. Nie traci zatem tej podstawowej godności także człowiek, który dokonuje odrażających i okrutnych zbrodni. Nie ulega żadnej wątpliwości, że społeczeństwo nie może pozostawić go bez kary, ale nigdy nie oznacza to, że można go traktować tak, jakby przestał być człowiekiem.

Po drugie, właśnie ta podstawowa ludzka godność domaga się szczególnego odniesienia do każdego człowieka, które wyraża się przede wszystkim w uznaniu jego prawa do życia. Powinność szacunku i ochrony życia dotyczy jednak ludzi w różnym stopniu. Staje się ona najwyższym i nie dopuszczającym wyjątków nakazem moralnym w przypadku każdej niewinnej istoty ludzkiej. Odebranie jej życia, niezależnie od intencji, jest przez Kościół uważane w każdym przypadku za poważne moralne zło. Jednak właśnie powinność ochrony życia niewinnych może w niektórych sytuacjach prowadzić do odebrania życia niesprawiedliwemu agresorowi, jeżeli jest ostatecznym środkiem ochrony.

Po trzecie, możliwość zaistnienia takich sytuacji sprawia, że kara śmierci nie jest w nauczaniu Kościoła tak radykalnie wykluczona, jak aborcja czy

eutanazja. Kościół dopuszcza konieczność jej stosowania, gdyby okazało się, że jest jedynym środkiem ochrony przed osobami, które, popełniwszy zbrodnie, z dużym prawdopodobieństwem ponownie będą zagrażały niewinnym. Dopuszczonym przez Kościół motywem nie jest tu więc ani oburzenie i pogarda dla przestępców, ani zapłata za popełnione zło na zasadzie: życie za życie, ani dostarczenie satysfakcji rodzinom ofiar, ani też (wątpliwe) odstraszenie potencjalnych zbrodniarzy, ale jedynie uprawniona obrona. Kościół plasuje zatem karę śmierci poza arsenalem zwyczajnych kar, stosowanych w państwie prawa, zachowując jej stosowanie na sytuacje totalnego chaosu, w których nie byłoby możliwości realnej ochrony przed zbrodniarzami. Należy zatem jednoznacznie stwierdzić, że pragnienie przywrócenia kary śmierci do systemu karnego normalnie funkcjonującego państwa prawa stoi w sprzeczności z nauczaniem Magisterium Kościoła.

Obok argumentów racjonalnych w dyskusji pojawiają się nieraz mocne argumenty emocjonalne. Sprzeciw wobec kary śmierci jest postrzegany w kategoriach pobłażania przestępcom i cynizmu wobec rodzin ofiar. Jak się twierdzi, życie sprawcy ma być chronione - i to za pieniądze podatników - znacznie bardziej, niż życie jego ofiar. Można jednak także (na tym samym, emocjonalnym poziomie) zapytać, czy chrześcijanin mógłby spokojnie patrzeć na wstrzykiwanie skazanemu tego samego śmiertelnego koktajlu, którym dobija się chorych pacjentów w krajach, które dopuściły eutanazję? Zinstytucjonalizowane odbieranie życia, ujęte w dokładne procedury, drobiazgowo i z chłodną i beznamiętną dokładnością wykonywane przez personel więzienny - to obraz mocno kontrastujący z chrześcijańską wizją państwa prawa, które wypisało na swoich sztandarach szacunek dla każdej istoty ludzkiej. Dopóki więc istnieje realna alternatywa karania - za najbardziej

drastyczne przestępstwa dotkliwego i niepobłażliwego! - zbrodniarzy, w normalnie funkcjonującym państwie nie ma miejsca dla kary śmierci.

Ks. Marian Machinek MSF